RATUNKU

MAŁGOSIA PODGÓRSKA

UWIĘZIONA PRZEZ LOS,
URATOWANA PRZEZ MIŁOŚĆ

RATUNKU

RATUNKU

MAŁGOSIA PODGÓRSKA

dlaczemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dlaczemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala
Redaktor prowadząca: Marta Burzyńska
Redakcja i korekta językowa: Barbara Wrona
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka
Skład i łamanie: P.U. OPCJA

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2021

Wydanie I

ISBN: 978-83-66521-39-1

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami. Dodatkowe informacje dostępne pod adresem: kontakt@dlaczemu.pl

1

Tik-tak, tik-tak, tik-tak…

Właśnie to wypełniało ciszę dużego, surowego pomieszczenia, gdzie zwykle oddział specjalny miał swoje odprawy. Josh, specjalista od komunikacji, nieumiejętnie próbował nawiązać rozmowę z Jess o wczorajszym meczu piłki nożnej. Zazwyczaj przegadywali razem wiele czasu, obrzucając błotem drużyny i zawodników, które akurat ta druga osoba lubiła, ale dziś czuło się napięcie w powietrzu. Zawsze tak było, gdy dostawali wiadomość o nowej misji. Minęło parę tygodni od ostatniego zadania. Wszyscy byli spragnieni akcji i przepełnieni oczekiwaniem. Atmosferę wypełniała woń ekscytacji, połączona ze śmiertelną powagą, stąd trudno było czekać na wesołków Mike'a i Jake'a, operacyjnych żołnierzy każdej zbrojnej akcji. Razem w sytuacjach codziennych byli jak duże dzieci; zawsze pełni sprośnych dowcipów, szukający rozrywki, zwady, czegokolwiek, co wypełniłoby im ten brak zagrożenia życia poza pracą. Obydwaj wysocy, wysportowani, silni; wizualne marzenie większości kobiet. Osobno jednak byli zupełnie innymi ludźmi. Mike był szalonym blondynem, beztroskim motorem napędowym tej paczki, który ciągnął Jake'a na każdą wyprawę. Jeśli razem zrobili coś głupiego, to z pewnością wpadł na to Mike. Jake natomiast był tym bardziej powściągliwym, wycofanym gentlemanem, dzięki któremu obydwaj wracali z tych wypraw żywi. Na swój sposób wzajemnie ratowali sobie życie. Jake zapewniał tę szczyptę rozsądku potrzebną do uniknięcia śmierci. W zwykły dzień to on mówił: „Ostatni drink,

Mike", co nie przeszkodziło im wypić jeszcze po trzy, ale to dzięki niemu Mike przypominał sobie, że kiedyś należy wstać i wrócić do domu. Mike natomiast przypominał Jake'owi, że z tego domu trzeba wyjść. Miał on mroczny moment w swoim życiu, gdy zginęła jego młodsza siostra. Mnóstwo osób ginie w wypadkach samochodowych każdego tygodnia, ale nigdy nie podejrzewasz, że wśród tej grupy znajdzie się ta jedyna bliska ci osoba, która nadaje sens słowu „dom". Gdy Jake wyprowadzał się na swoją pierwszą misję, siostra zaczynała dopiero liceum. Mimo różnicy wieku byli ze sobą bardzo blisko. W przerwach na uczelni, a potem między jedną i drugą misją Jake'a razem wyjeżdżali na wycieczki lub odwiedzał ją na studiach w akademiku. Och, jak ona lubiła te wizyty! Po pierwszej stała się niezwykle popularna wśród dziewczyn, bo każda jej koleżanka chciała poznać tego silnego, opiekuńczego przystojniaka. Koledzy nie byli już tak entuzjastycznie nastawieni do jej brata i tych wizyt, ale nie przejmowała się tym zbytnio. Mając w planach zostanie lekarzem, była jedną z tych dziewczyn, które rzeczywiście poszły się uczyć na studia . Gdy zginęła, Jake długo się obwiniał; bo przecież mógł być przy niej, bo mógł z nią więcej jeździć. Wtedy na pewno uciekłaby przed tym kolesiem, który zwyczajnie zasnął za kierownicą i w nią uderzył. A może mógł kupić jej lepszy wóz. Może droższa marka zapewniłaby lepsze bezpieczeństwo. Powodów do obwiniania się było mnóstwo, tak jak opróżnionych butelek alkoholu, mających znieczulić ból po stracie. Gdy Jake zawalił drugą misję z rzędu, po prostu się nie pojawiając, Mike wziął go pod swoje skrzydła. Nikt dokładnie nie wie, co zrobił, co powiedział. Wiadomo jedynie, że prawie porwał go z mieszkania, co w jego stanie nie było

specjalnie trudne, i wywiózł go do jakiejś chatki w lesie. Po tygodniu stawili się obydwaj trochę poobijani, i – stękając z bólu – na sali treningowej jednostki szykowali formę do następnej misji. Od tamtej pory Mike wyciągał Jake'a na wszelkie eskapady i tak powstał tandem „cudownych braci", jak ich nazywali inni członkowie grupy. Był to skład ludzi najlepszych w swoim fachu zwerbowanych z wojska. Członkowie jednostki cechowali się militarnymi umiejętnościami, doświadczeniem, odwagą, sprytem, odpornością na stres, kreatywnym myśleniem w najtrudniejszych sytuacjach i wieloma innymi specjalnymi kwalifikacjami. Byli najlepszymi z najlepszych, najętymi do pracy z klientem prywatnym, co zapewniało im świetne zaplecze finansowe i sprzętowe. Za każdą misją zazwyczaj stał ktoś z grubym portfelem, kogo było stać na ich usługi, i podobnie było w tym przypadku.

Zleceniodawcą okazał się bogaty tatuś, więc z ich punktu widzenia – najgorszy klient, który musi zdać sobie sprawę, że pieniądze to jednak nie wszystko. Mimo, że niejednokrotnie pomogą wyciągnąć z więzienia, pozwalając zatrudnić wygadanego adwokata ze znajomościami, czy zapewnić najlepszą opiekę szpitalną, jednak w obliczu śmierci wszyscy jesteśmy równi. Po części dlatego było nerwowo w pokoju, że ich klient czekał na wideopołączenie, upierając się, że chce przemówić do całej ekipy. Wszyscy, którzy oczekiwali już tylko na gwiazdorski duet, zdążyli zrobić szybkie rozeznanie. Ich klient to bogaty, surowy biznesmen, który dorobił się niemałej fortuny na handlu nieruchomościami. Zaczynał od wykupywania w biednych dzielnicach starych kamienic, które potem burzył, i budował centra handlowe, hotele, kasyna. Niezbyt go obchodziło, że rozwalające się domy dawały schronienie

najbiedniejszej części miasta, która wciąż walczyła o przetrwanie. Według niego, jeśli kogoś nie było stać na czynsz, to jego miejsce było w barakach zapewnianych przez miasto. Takie i inne posunięcia sprawiły, że miał reputację człowieka bezwzględnego, ogólnie mało sympatycznego, ale świetnie umiejącego wykorzystać sytuację na rynku.

Prywatnie był wdowcem z jedną córką, Megan. Jego ukochana żona zmarła, wydając ją na świat. Po jej śmierci zamierzał poświęcić się przyszłości córki w sposób, jaki wydawał mu się najlepszy, czyli stworzyć ją na podobieństwo swego genialnego jestestwa. Jego pech polegał na tym, że trafiła mu się córka z sumieniem i misją pomagania biednym i opuszczonym dzieciom. Na pewno te ckliwe tendencje były po zmarłej matce, bo doskonale wiedział, że charakter ma po nim. Choć był wielkim biznesmenem, który w rozmowach negocjacyjnych potrafił przekonać najtwardszych zawodników, zbyt często musiał ulegać sensownym argumentom i diabelskiemu uporowi córki. Wiedział, że gdyby tylko ukierunkować jej pasję i rozum na tory biznesowe, nie miałaby sobie równych. Ale nie, ubzdurała sobie pracę nauczycielki z domku na prerii, gdy on miał dla niej przygotowany wspaniały plan, według którego zostaje największą kobietą biznesu w kraju. Miał nawet upatrzonych kilku synów swoich kontrahentów. Wszyscy prezentowali się doskonale i mieli swoje dobrze prosperujące biznesy.

Z powodu małego, jego zdaniem, nieporozumienia w sprawie przyszłości córki, nawet ucieszył się z jej pomysłu, by po zdanej maturze, zamiast iść na studia, trochę pozwiedzać świat. Miała uczyć się języków i szykować do przejęcia stworzonego przez niego biznesowego świata. Po cichu jednak liczył, że nabierze obycia

i doświadczenia również w sytuacjach damsko-męskich. Do tej pory wszystko, co ją interesowało, to były nauka, sport i parafialna ochronka dla dzieci, gdzie spędzała czas wolny. Ani razu nie słyszał o żadnym chłopaku, którym by się interesowała, lub o potrzebie pieniędzy na jakieś wystrzałowe ciuchy na dyskotekę czy na cokolwiek równie nastoletniego. Ogólnie, jak na córkę bogatego ojca, była stosunkowo mało przygodowa czy też wymagająca finansowo. Gdy po maturze poprosiła o pieniądze na wyjazd by, zanim zacznie kształtować swoją zawodową przyszłość, trochę poznać świat i siebie samą – był zadowolony. Choć, oczywiście zamiast do Paryża, Londynu czy innego równie cywilizowanego europejskiego miasta, chciała wyjechać do jakichś wiosek na obrzeżach Sycylii. Na szczęście, ojciec jako sponsor, wymusił Mediolan, który w ramach „kompromisu" stał się ostatecznym miejscem jej pobytu. Po roku Megan wróciła gotowa do kontynuowania edukacji, co uczczono bankietem.

Ojciec, łącząc przyjemne z pożytecznym, powitał córkę w gronie swoich kontrahentów i ich doskonałych synów. Po tymże wieczorku, kiedy mógł się nią wreszcie pochwalić, torując jej przyszłą drogę zawodową, ona spokojnie poinformowała go, że zdecydowała się iść na pedagogikę, by w przyszłości stworzyć centrum pomocy biednym dzieciom. Co w takiej sytuacji robi kochający, rozsądny i wyrozumiały ojciec? No, z pewnością coś akceptującego i wspierającego, ale jako że w tej historii takiej postaci nie ma, równie spokojnie poinformował ją, że aplikacja na ekonomię i marketing jest już przygotowana i wypełniona. Jako bonus zaprezentował jej kilka mniejszych spółek, by wybrała jedną do szlifowania swoich talentów managerskich. Doszło do wielkiej kłótni, po której grzecznie

podziękowała, pożegnała się, a następnego dnia złożyła papiery na pedagogikę. Na co kreatywny tatuś, w imię – oczywiście – wyższego dobra, postanowił odciąć ją od wszelkich pieniędzy, sądząc, że brak codziennych luksusów nawróci ją na właściwą ścieżkę zawodową. Dziewczyna bez słowa wyprowadziła się z pięknego apartamentu, zdobyła pracę w ochronce dla dzieci i z koleżanką poznaną na egzaminach wstępnych wynajęła dwupokojowe coś, co miało przypominać mieszkanie.

Pomimo początkowych niepowodzeń ojciec nadal miał nadzieję, że proza życia przepełnionego nauką i pracą za marne grosze zmiękczy jej zapał. Ale gdy po trzech miesiącach nie otrzymał żadnej pełnej skruchy wiadomości błagającej o jakąś przysługę czy ratunek, podszedł do sprawy jak biznesmen. *Gdy nie możesz dogadać się z kontrahentem, wyciągnij asa z rękawa, nie pozostaw wyboru i złóż propozycję nie do odrzucenia*. I tak, kierując się tą praktyczną filozofią, zgłosił się do dyrekcji szkoły uczęszczanej przez Meg z hojnym prezentem w postaci dotacji na pomoce naukowe, które skutecznie przekonały dyrekcję, by pomogła córce wybrać właściwy kierunek. Po tej upokarzającej rozmowie w pokoju dziekańskim, gdzie piątkowa uczennica dowiedziała się, że albo zostanie skreślona z listy studentów, albo natychmiastowo przepisze się na kierunki wybrane przez tatusia, Meg wciąż się nie ugięła. Był środek semestru, a utrata statusu osoby uczącej się powodowała automatyczną utratę pracy w ochronce. Brak pedagogicznego stopnia był tam dozwolony jedynie, gdy pracownik był na drodze, by go zdobyć. Pozostawiło ją to z niezłym dylematem. W mieście nie było innej, równie dobrej szkoły, a kursy nie dawały jej pożądanego stopnia. Nie mogła zwrócić się do bogatszych znajomych

tatusia, bo nikt nie chciał ryzykować jego gniewu. Mogła wyjechać do innego miasta, ale obawiała się, że i tam będą w końcu potrzebowali pomocy naukowej papy.

Tutaj nasz tato dziesięciolecia stracił kontakt ze swoim dzieckiem. Po akcji z dotacją odczekał miesiąc, by emocje Meg trochę opadły. Wiedział, że posunął się o krok za daleko, ale czuł, że nie miał innego wyjścia, no i przecież miało to potrwać góra kilka miesięcy. Jednak jakież było jego zdziwienie, gdy po tych kilku tygodniach nie potrafił zlokalizować swojej latorośli. Jej komórka została odłączona, a ta dziura, którą zamieszkiwała z koleżanką, stała pusta. W ochronce i na uczelni już dawno jej nie widzieli, bo przecież sam o to zadbał. Po wynajęciu detektywa okazało się, że krótko po jego interwencji wyciągnęła wszystkie pozostałe pieniądze z banku i zlikwidowała konto wraz z kartami kredytowymi. Nic w mieście nie zostało nabyte czy wynajęte na jej nazwisko, nie pojawiło się żadne stanowisko obsadzone jej imieniem. Po wytropieniu byłej współlokatorki dowiedział się jedynie, że jego córkę przepełniały zarówno dzika wściekłość, jak i ogromny zawód. Ponoć czuła się samotna i pokonana i myślała o wyjeździe za granicę. Jednak jej nazwisko nie pojawiło się na żadnej liście pasażerów samolotu, statku, autobusu czy pociągu. Gdy już poważnie zaczynał się niepokoić, dostał e-mail z informacją, że jego zacna córka na jakiś czas „zniknie z jego orbity". Nikt jej nie porwał, nikt nie przymusił, po prostu musi spróbować się jakoś odnaleźć. Gdy natychmiast odpowiedział, by się nie wygłupiała i wróciła, a z pewnością dojdą do jakiegoś kompromisu, dostał automatyczną wiadomość o treści: *Konto nie istnieje*. Dalsze próby wyśledzenia czegokolwiek, skąd był wysłany pierwszy e-mail czy gdzież to się latorośl znajduje,

przyniosły marne rezultaty. Początkowe uczucie strachu i wstydu – w sumie sam wygonił własną córkę z miasta – przerodziło się w gniew; bo jak śmiała mieć ostatnie słowo. Ale z czasem nawet mu to zaczęło imponować. Doskonale wiedział, że Meg stać na takie samodzielne i odważne decyzje, w końcu nie przyśniło mu się, że byłaby rekinem w świecie biznesu. Jednak mieć potencjał i charakter, a faktycznie wykonać ryzykowny i odważny ruchu, to dwie różne rzeczy. Po cichu więc gratulował sobie posiadania wyjątkowej puli genów, którą jego córka odziedziczyła z nawiązką, zastanawiając się, co też jego Meg zdziała. Nawet nie zauważył, gdy minęło pięć lat, przeplatane kilkoma e-mailami informującymi, że żyje i ma się dobrze. Przestał poszukiwać córki, mając nadzieję, że gdy będzie gotowa, to sama się zgłosi. Wszystkie te myśli i nadzieje runęły w przepaść, gdy otrzymał telefon od jej byłej współlokatorki; tak… tej samej, która wcześniej twierdziła, że nic nie wie o tym, co dzieje się z Meg.

– Panie Falton, jakaś rozhisteryzowana dziewczyna do pana. Ciężko ją zrozumieć, ale wspomniała coś o pana córce.

– Meg?! Przełączaj!

– Porwali ją… z całą klasą.

– Kto? Chodzi o moją Meg? Meg Falton?

– Nie, o Meg Tilton, pana córkę.

Oszczędzając tutaj miejsce na tę chaotyczną rozmowę, ustalmy, że w krótkim czasie, przepełnionym pochlipywaniem i wzywaniem Pana Boga nadaremnie, pan Falton dowiedział się, że placówka, w której uczyła Meg, została napadnięta przez grupę jakichś zbirów. Zaraz po ostatniej kłótni Meg postanowiła zmienić nazwisko, po to, aby móc spróbować czegoś nowego bez oglądania się za siebie. Wykorzystała kontakty z wcześniejszej

podróży i w ramach międzynarodowego programu pomocowego pojechała do małego miasta we Włoszech, by uczyć biedne dzieci z nieciekawych środowisk. Po roku zmieniła miasto na mniejsze, po kolejnym roku na jeszcze mniejsze i tak w końcu wylądowała w większej osadzie.

Osoby, które ją zatrudniły, dowiedziały się o tragedii z porwaniem dopiero dzień po zdarzeniu i od razu poinformowały najbliższych z podanych wcześniej kontaktów. Meg w dokumentach wskazała swoją byłą współlokatorkę, a ta miała na tyle rozumu, by od razu zadzwonić do wpływowego ojca koleżanki. Jak się okazało, obydwie rozmawiały regularnie, stąd była bardzo pomocna w zebraniu informacji potrzebnych do ustalenia, gdzie należy zacząć poszukiwania. Opłaceni przez pana Faltona detektywi dowiedzieli się, że porywacze to szajka z tamtejszych okolic, która postanowiła zapewnić sobie lepszy byt, handlując kobietami i narkotykami. Upodobali sobie mniejsze mieściny, gdzie ludność jest stosunkowo bezbronna. Policyjnie i prawnie podlegali pod najbliższe większe miasto, co sprawiało, że zanim centrala kogoś wysłała, w zasadzie po zgubie czy zbrodni nie było śladu. Sama ekipa to ambitni amatorzy, ale towaru pozbywali się na rzecz bardziej doświadczonych gangsterów. I tutaj niestety pojawiły się naprawdę złe wiadomości. Nasi amatorzy weszli w małą spółkę z organizacją kierowaną przez zawodowca zwanego Jonesem, który – poza byciem regularnym przestępcą – był ponoć trochę szalony. Oprócz szemranych interesów skupowania porwanych kobiet posiadał sieć klubów, które pod przykrywką nocnej rozrywki oferowały miejsce dla bogatych, acz wymagających ekscentryków, spragnionych specyficznych wrażeń erotycznych. W swoim portfolio miał ponoć różnego rodzaju seanse,

w których klubowicze sami brali udział lub ograniczali się do ich obserwacji z bliska. Niezależnie od tego, na jak ekstrawagancki pomysł wpadł, kobiety zawsze były mu potrzebne. Dla swojej wymagającej klienteli wybierał zawsze najlepsze perełki. Czy to egzotyczne piękności, które dostosowywały się do wymyślnych koncepcji, czy jakieś szczególne przypadki, które swoją wyjątkowością tworzyły te scenariusze. Gdy otrzymywał więc towar od „dzikusów", jak ich sam nazywał, jak w fabryce sprawdzał każdą „sztukę" w poszukiwaniu tych najbardziej wyjątkowych. I, wbrew pozorom, porwanym dziewczynom powinno było zależeć, by trafić do tej osobliwej grupy. Inne, te brzydsze, zupełnie zwyczajne, trafiały do podrzędnych miejsc, gdzie najczęściej, nie przeżywały zbyt długo.

Jeden z informatorów dzięki łapówkom i sprycie zdołał dowiedzieć się, gdzie dziewczyny są przechowywane, zanim trafią do ostatecznej lokalizacji. Nasz ekskluzywny alfons zbudował gdzieś w środku dżungli magazyn przystosowany do tego typu operacji. Nie dość, że dysponuje grupą uzbrojonych gangsterów, to jeszcze ze względu na położenie trudno niezauważenie podjechać tam jakimkolwiek środkiem transportu. Idealne miejsce, gdzie nikt przypadkowo nie zawędruje, a i jakakolwiek akcja przechwycenia „towarów" jest trudna do przeprowadzenia.

Stąd zrodziła się potrzeba wynajęcia najlepszej jednostki. Dzięki łapówkom wynajęci przez pana Faltona ludzie ustalili, kto i gdzie przechowuje towar z tego tygodnia. Ale zupełnie inną sprawą było już znalezienie i przejęcie jednej dziewczyny. Nikt nie chciał mieć wroga w Jonesie, który słynął z tego, że nie lubił mieć długów, zarówno finansowych, jak i okolicznościowych. Sprawą honorową było dla niego utrzymanie swojej

reputacji jako pomysłowego i ekscentrycznego mściciela. Ci, którzy odważyli się z nim zadrzeć, no cóż… Żałowali tego przynajmniej przez ten niekoniecznie krótki czas zemsty, która zazwyczaj kończyła się dla nich śmiercią.

Z tych i innych powodów pomocy w misji ratunkowej desperaci upatrywali w zawodowej jednostce wyposażonej w najnowszą technologię i w ludziach wyszkolonych do szybkich i skutecznych akcji. I właśnie na dwóch gwiazdorów z tej ekipy teraz oczekiwano w napięciu.

– Która jest godzina? – zapytała zdenerwowana Jess.

– Nie musisz pytać, bo wiadomo, że się spóźniają – odpowiedział szybko Josh.

– Przysięgam, gdyby nie to, że są tak skuteczni, to…

– He, he, zapewne gdyby nie to, nie panoszyliby się tutaj jak najbardziej popularni faceci w liceum.

– Gdzie oni są?

W tym momencie z oddali dało się słyszeć kroki i urywki rozmowy.

– Mówiłem ci, że przy odpowiedniej prędkości idealnie wstrzelę się w pasmo zielonych świateł.

– Gdybyś wyszedł o czasie, nie musiałbyś się w nic wstrzelać. Poza tym, ten moment, w którym przejechałeś chodnikiem przez skrzyżowanie, bo inni zatrzymywali się na pomarańczowym, niezbyt można uznać za wstrzelenie się w zielone pasmo.

– E tam, przecież każdy wie, że druga strona dopiero za chwilę widzi zielone, więc margines jest szerszy… Same dziadki musiały przed nami jechać.

– Dziadki czy nie, wisisz mi stówę za przegrany zakład.

– No zaraz, zaraz – nie zatrzymałem się na żadnym świetle.

– Założyliśmy się, że wstrzelisz się w zielone pasmo, a nie że będziesz piracił chodnikami na czerwonym.

– No, no, co najwyżej na ciemnopomarańczowym i co, stary, smakował ci ten kij z wyrytymi zasadami, który połknąłeś? Takiego sztywniaka to, aaa, przypomniało mi się… Sandra dzwoniła do Sue, bo ponoć nie zjawiłeś się na waszej drugiej randce. Co się stało? Utknąłeś na światłach? – zapytał, rechocząc rozbawiony własnym żartem.

– Nie, po prostu nie byłem zainteresowany.

– Aaa, no proszę, a zawsze niby taki dżentelmen. Nieładnie wystawiać damę.

– Damy bym nie wystawił, ale nie o to chodzi – to była pomyłka. Gdyby nie to, że urabiałeś je obydwie w tym barze, to w życiu bym się nią nie zainteresował.

– No to czemu poszedłeś na pierwszą randkę?

– Poszedłem, bo wydawało mi się, że należy się jej wyjaśnienie. Nie miałem zamiaru zostać zbyt długo.

– Ooo, i co się stało? Przywiązała cię i zmusiła? Hmm, brzmi nieźle.

– Nie, po prostu była dość, eee, przekonująca.

– He, he, he, nie wywiniesz się bez wyjaśnienia, stary.

– Jezu, Mike… Powiedzmy, że przekonywała mnie ustami i to nie przy użyciu słów.

– Ty farciarski sztywniaku, laski się na ciebie rzucają, a ty… Nie no, jesteś niereformowalny, nic się nie bój, znajdziemy ci jakąś dziewiczą Mary, która na trzecią bazę każe ci czekać do ślubu.

– No nie przesadzaj, ale mogłyby choć czekać, aż zamówimy przystawki.

W tym momencie zauważyli cały team, który wpatrywał się w nich z napięciem.

Mike oczywiście, jak prawdziwy profesjonalista, zagadnął:

– Eee, siema, jak leci? Sorry za spóźnienie, ale Jake…

– No już dobra, dobra, siadajcie. Klient na nas czeka.

– Klient czeka? – spytał zdziwiony.

– Tak, będziemy mieli wideokonferencję. Na miłość boską, Jake, wyciągnij tego lizaka. Mamy wyglądać jak profesjonalna jednostka, wzbudzać respekt i takie tam.

– No właśnie, Jake! Wyciągnij lizaka i wzbudzaj respekt i takie tam.

– Skocz mi, Mike.

Przy akompaniamencie wzajemnych docinków cała drużyna zebrała się przed wielkim ekranem, na którym po chwili wszyscy zobaczyli umęczoną twarz mężczyzny w średniozaawansowanym wieku. Normalnie jego widok mógłby znamionować życie pełne aktywności i klasy. Jednak z ekranu spoglądały na nich upiorne oczy należące do ojca, który stracił swoją córkę. Przekrwione, zrezygnowane i puste spojrzenie prezentowało wręcz brutalną bezsilność, ubraną w dwudniowy zarost i wymiętą, rozchełstaną koszulę. Minął moment, zanim wyrwany z zadumy rozmówca skupił oczy na ekranie przed sobą. To już nie był upiór – teraz jego oczy wyrażały siłę, determinację, cel i skupienie.

Odchrząknąwszy kilka razy, bez wstępu zaczął:

– Powiedziano mi, że ta jednostka jest skuteczna i najlepsza. Że radzi sobie w najbardziej niebezpiecznych warunkach. Liczę na to. Moja córka Megan, ona… nie jest taka jak ja, ona jest dobra. Zasługuje na szansę życia. Byłem głupi i…

Walcząc z łamiącym się głosem, odchrząknął ponownie i kontynuował:

– Chciałem tylko powiedzieć… Ja jestem człowiekiem biznesu. Nie potrafię… Po prostu zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ją odzyskać. Oprócz standardowej opłaty gwarantuję dodatkowe pięćdziesiąt milionów dla zespołu, jeżeli ją odzyskam żywą. Wszelkie materiały zebrane od organizacji zatrudniającej Megan i od moich ludzi na miejscu zostały wam przekazane. Jeśli tylko będzie coś wiadomo, proszę o kontakt. W dzień czy w nocy – nieważne. Czy macie do mnie jakieś pytania?

Gdy nikt się nie odezwał, po chwili po prostu się wyłączył, a ciszę przerwał głos Mike'a:

– Myślicie, że byłoby nie na miejscu spytać go, w jakiej walucie te pięćdziesiąt baniek?

2

— Gdyby nie to, że szef zabronił, szybko bym cię wychował. Byłabyś potulna jak tamte i to bez narkotyków.

Wymawiał to gniewnie, przywiązując ciasno jej dłonie do ramy łóżka. Siedziała cicho, starając się go nie prowokować, przeklinając w duchu kolejną, nieudaną próbę ucieczki.

Nie mogła uwierzyć, że złapali ją nie raz, ale dwa. Za tym drugim razem już wiedziała, że będzie ciężko. Nie powstrzymało jej to przed spróbowaniem, ale ta pierwsza okazja, ach… Była już w lesie, biegnąc wzdłuż drogi, bo wiedziała, że piechotą i bez sprzętu nie da rady dostać się do cywilizacji. Ze szkoły, gdzie je porwano, jechały kilka godzin, głębiej i głębiej w las. Wszystkie, jak stado owiec, przyjechały na pace ciężarówki. Liczyła więc, że uciekając koło drogi, napotka samochód, który wywiezie ją z tego okropnego miejsca. Po dotarciu do leśnej ścieżki truchtała trzydzieści minut wzdłuż, zanim pojawił się upragniony pojazd. Ucieszyła się tak, jakby po dniu marszu na pustyni zobaczyła studzienkę z krystalicznie czystą wodą. Wyskoczyła niczym poparzona, machając na średniej wielkości furgonetkę. Nie spojrzała nawet dokładnie na kierowcę, tylko pospieszyła z wyjaśnieniem, jak to ją porwali i przetrzymywali, i czy mogą podwieźć ją do najbliższego posterunku policji, i – o matko – jak wspaniale, że na nich trafiła. W zasadzie sama wpakowała im się do furgonetki, chcąc odjechać jak najszybciej. Drugi mężczyzna, siedzący z tyłu zakrył ją opiekuńczo kocem i przypiął pasem.

Jak tylko samochód ruszył, kierowca złapał krótkofalówkę i powiedział głośno i wyraźnie:

– No chyba mamy waszą zgubę. Tak, nie wygląda na specjalnie uszkodzoną, całkiem ładniutka, szkoda, że haleczka.

Takiego rozczarowania nie odczuła chyba nigdy, pewnie dlatego, że nastąpiło zaraz po radości i uldze związanej z myślą o wolności. Wyzywała siebie od kretynek i idiotek, ale w sumie po chwili targania emocjami zrobiła to, co zwykle, czyli odwołała się do logicznych argumentów.

Okazja do ucieczki nadarzyła się ponownie przy zmianie warty, która odbywała się wczesnym wieczorem. Wiedziała więc, że ma tylko kilka godzin, zanim zrobi się ciemno i przyjdzie jej błądzić po lesie pełnym zwierzyny. Jej orientacja w terenie niestety pozostawiała wiele do życzenia i bała się, że będzie kręcić się wkoło, nie mając punktu odniesienia w słońcu czy mchu. Naoglądała się programów przyrodniczych, ale nie wiedziała, czy w tym momencie to jej w ogóle pomogło, czy tylko przestraszyło. W nocy temperatura w puszczy bardzo spadała, a wiedziała, że nie może rozpalić ogniska. Równie dobrze mogłaby wykrzykiwać swoje położenie goniącym ją porywaczom. Mimo braku ciepłych ubrań czy śpiwora może zdołałaby jakoś przetrwać, ale nie wiedziała dokładnie, jakie zwierzęta wyjdą na łowy. Nie każde z nich powstrzyma fakt, że smakowity kąsek wdrapał się na drzewo i tam nocuje, zakładając optymistycznie, że nie spadnie w nocy i czegoś sobie nie złamie. Stąd – podsumowując jej położenie – najlepszym wyjściem było znalezienie jakiegokolwiek samochodu z ludźmi, z komórkami, z GPS-em. Nie… poprawka. Jakiegokolwiek samochodu,

który nie należy do porywaczy. No cóż, to jej się nie udało, ale wszystko inne poszło wprost świetnie.

Wewnętrzny sarkazm, duma, siła, nadzieja, wiara – to były cechy, które pozwalały jej wciąż walczyć, a nie całkowicie rozkleić się jak inne dziewczyny. Jak sobie tylko o nich przypomni… Do teraz nie wiedziała, co dokładnie czuje na wspomnienie tej żenującej i przerażającej sceny, gdy po przyjeździe do tego miejsca porywacze kolejno oceniali ich wartość. Jej warunki były znacznie lepsze niż innych kobiet, ale jednak całą sobą buntowała się przeciw temu. Jej szkółka liczyła piętnaście dziewcząt, z których większość nie przekroczyła siedemnastu lat. Gdy ustawili je w kolejce do tego złowieszczego pokoju, zaczęły się docinki i komentarze.

– Nie no, daj spokój, przecież ta jest wyraźnie starsza i po dumnej postawie widać, że nie pochodzi z tej wiochy, więc możesz ją dać od razu do nas na przeszkolenie.

– Znasz reguły: najpierw sprawdzamy, potem rozdzielamy. A teraz to nigdy nie wiadomo, która okaże się haleczką. Pamiętasz ten poprzedni dowóz? Ile to one mogły mieć lat? Piętnaście? I każda już wiedziała, co i jak. Zaraz się przekonamy, ile z tych młódek jest tak niewinnych, jak to zazwyczaj grają.

– Stawiam dychę na tę w warkoczykach.

– Eee, gówno wiesz. Jak ktoś tak usilnie się stara, to zazwyczaj ma coś do ukrycia, ale zobaczymy.

Była ostatnia w kolejce, więc zdążyła się przyjrzeć pomieszczeniu, mając już w planie jak najszybciej stąd uciec. Gdy nadeszła jej kolej, wepchnęli ją do pokoju, w którym centralną część zajmowało krzesło medyczne. Zaraz wszystko nabrało sensu, gdy dwóch mięśniaków siłą ją w nim umieściło.

Była tak zaskoczona, że nawet nie walczyła, jak wkładali jej ręce w jakieś pasy. Ale gdy zaczęli podciągać jej sukienkę, rozpętała im piekło, a przynajmniej tak jej się wydawało. Po dziesięciu sekundach jasne było, że nie miała szans ze związanymi rękami, a pod koniec szamotaniny, gdy na razie jeszcze nikt jej nic nie robił, usłyszała znudzony głos:

– Och, no jaka szkoda, że nie można ich narkotyzować przed kontrolą, byłoby znacznie szybciej i łatwiej.

Głos dochodził z kąta pokoju, gdzie facet zakładał parę rękawiczek – miała nadzieję, że przynajmniej świeżych. Całość procedury mogłoby skwitować zdanie, które wykrzyczał zdziwiony osiłek, wychylając się przez otwarte drzwi:

– Mamy haleczkę! Ktoś na nią stawiał?

– No chyba żartujesz? Nauczycielka? Przecież ona stara już jest.

– Eee, no… nie wygląda źle.

– He, he, no wiedziałem, że twoje warkoczyki to płonna nadzieja.

– Płonna nie płonna, zaraz się nimi należycie zajmę.

Jak tylko doktorek skończył swoje oględziny i zdziwiony podał werdykt, dali jej jakąś dziwną białą, długą koszulę na rzepy i kazali ją włożyć. Zszokowana badaniem zwlekała, by się przebrać, ale gdy zaproponowali jej pomoc, szybko przeistoczyła się w białą siedemnastowieczną zjawę, a osiłki wyprowadziły ją tylnymi drzwiami. To, co zobaczyła po wyjściu z wąskiego korytarza… Bardzo chciałaby o tym zapomnieć. Wlekli ją przez długi korytarz, gdzie pod ścianami ustawione były prycze, do których przypinali kajdankami zbadane wcześniej dziewczyny. Jedne płakały, inne krzyczały, pozostałe były chyba w szoku, bo ich bezwład był przerażająco nienaturalny. Dopiero po chwili zauważyła, że krzyczały głównie te,

które chwile przed nią znajdowały się w pokoju z doktorkiem. Gdy doszła do ostatniej pryczy, jej „ochroniarze" zatrzymali się na krótką, acz uroczą pogawędkę, nakłaniającą towarzyszy, by nie ważyli się zacząć imprezy losującej bez nich. Niespecjalnie zajmowało ją, co to dokładnie znaczy, bo przyglądała się ostatniej dziewczynie. Musieli podać jej jakiś narkotyk, bo patrzyła przed siebie otępiała i głucha na wszystko. Meg przeszło przez myśl, że może i dobrze nie być zbytnio świadomą tego, co się dzieje. Zaraz jednak zrobiło jej się wstyd, kiedy przypomniała sobie o swoim postanowieniu ucieczki. Tak, tej, która już dwa razy jej się nie udała, mimo że jako jedyna nie była narkotyzowana i trzymano ją w osobnym pokoju z wolnymi rękami. No, po drugiej próbie już ją związali, po pierwszej jedynie zabrali buty. Była więc teraz boso, niekompletnie ubrana i przypięta do łóżka. Dlatego musiała się skupić na przetrwaniu. Może z jej nowym właścicielem, o którym już myślała z nienawiścią, nadarzą się nowe możliwości na ocalenie. To przetrwanie nie było jednak takie proste. Bardzo się wstydziła przed samą sobą, bo całym sercem chciała jakoś pomóc swoim uczennicom, ale w duchu dziękowała Bogu, że nie znajduje się na ich miejscu. Jak tylko wylądowała w osobnym, zamkniętym pokoju, zaczęła się usilnie rozglądać za szansą ucieczki. Jej skupienie przerwał dziwny odgłos. Stukanie, przesuwanie czegoś, czy oni coś budują? Ale gdy już otrząsnęła się ze swoich intensywnych myśli o ewakuacji, doszły i inne, jednoznaczne, odgłosy. Śmiechy, głośne komentarze zagrzewające do boju – i wtedy skojarzyła te wcześniej niezidentyfikowane dźwięki. Nikt niczego nie budował z młotkiem w ręku – to był stukot, jaki wydaje żelazna rama pryczy, rytmicznie dobijająca do ściany. Nigdy nie myślała,